

Bogowie zatrzymali się na Mazurach

Teatr Wiejski "Węgajty"

Teresa Kłosiewicz

Stan polskiej kultury lat dziewięćdziesiątych jest analogiczny z sytuacją środowiska naturalnego. Wielkie nazwiska, że wspólnie, choćby Czesław Miłosz, ogłaszają alarm w obliczu nadchodzącej klęski. Literatura, teatr, kino, sztuki piękne — wszystkie dziedziny wydają się być zagrożone. Twórcy widzą główną przyczynę w błędach polityki rządu trzeciej Rzeczypospolitej, które, ich zdaniem, spowodowały pauperyzację instytucji kulturalnych i, co za tym idzie, artystów, a także pogłębiające się "schamienie" społeczeństwa.

Pozostawiając naukowcom analizę tej złożonej sytuacji, z której rozumni politycy będą musieli wyciągnąć wnioski, przedstawiam kilka zjawisk z różnych dziedzin kultury, obrazujących działania w sytuacji kryzysu, czy raczej mimo kryzysu.

*

Zacznijmy od teatru. Puste widownie większości przybytków Melpomeny i kolejki po bilety na nieliczne spektakle nie świadczą źle o widzach. Maja oni prawo wyboru według gustu, w którego kształtowaniu nie mała rolę (ukłon Żeromskiemu) odgrywa snobizm.

I chyba nie do widzów miał pretensję niecodzienny Konstancy Puzyna, który na kilka lat przed śmiercią podjął decyzję zaniechania krytyki teatralnej. Fakt, że widownie do niedawna były pełne, nie świadczył ani o większym niż dziś zapotrzebowaniu społecznym, ani o wyższym poziomie teatru. Był wynikiem systemu dystrybucji biletów wykupywanych przez zakłady pracy "w ramach akcji socjalnej". Autokary przywoziły zamiejscowych, a także gromady dzieci usypiających lub rozrabiających w trakcie przedstawienia. Nikt nie zważał na repertuar, nikt się nie martwił o kasę. Ceny biletów były

symboliczne, opieka państwa socjalistycznego zapewniona. Kto dziś chce powrotu do takiej sytuacji?

A jednak, kiedy przzerwano tę grę pozorów, kiedy bilety podróżowały i nikt ich już załogom zakładów nie funduje, kiedy w dodatku dotacje na utrzymanie teatrów stały się problematyczne, obwiniono za to Izabelę Cywińską, która ośmieliła się dokonać wyboru kandydatów do państwowego mecenatu: nielicznych najlepszych i debiutantów rokujących nadzieję. Pozostawienie przeciętnym poszukiwania własnych sposobów utrzymania się było naruszeniem układów istniejących latami. Jakże bowiem maja poszukiwać własnej drogi ludzie, którzy nigdy tego nie robili!

*

Poszukujących własnych dróg nie mieliśmy wielu. W kraju nigdy nie cieszyli się popularnością. Nie wszyscy mieli, jak Kantor, szanse zyskania rozgłosu za granicą. Najciekawszy i najbardziej kontrowersyjny był oczywiście Grotowski. Stał się kamieniem milowym, punktem odniesienia zarówno dla zwolenników, jak i przeciwników. Jego wpływ jest oczywisty, nawet u tak odmiennych pod względem metod i estetyki artystów, jak grupa Stowarzyszenie Twórcze Teatr Wiejski "Węgajty".

Nazwa pochodzi od miejscowości, w której zespół ma swoją siedzibę; jest to kolonia wsi należącej do gminy Jonkowo, niedaleko Olsztyna. Niech nikogo nie wprowadzi w błąd nazwa teatru "wiejski", przywołująca na myśl reanimację folkloru w stylu cepeliowskim. Wprawdzie jednym z kierunków poszukiwań teatru "Węgajty" jest także folklor, jednak nie o powierzchnię warstwę tu chodzi. Niewielki zespół utalentowanych ludzi odbywa "podróż w głąb, w studnię przeszłości". Etapem jednej podróży była epopeja "Na wysokiej połoninie" Stanisława Vincenza, którego spostrzeżenia dotyczące współżycia ze sobą kultur: szlacheckiej, pasterskiej i żydowskiej, stapiających się, przy poszanowaniu odrębnych tradycji, w bogactwo kultury dawnej Rzeczypospolitej, stały się ich myślą przewodnią. Vincenz opowiada o Huculszczyźnie, którą znał i kochał, w sposób wprost wymarzony dla aktora. W Węgajtach dokonano więc wyboru tekstów, opracowano scenariusz i wyreżyserowano przedstawienie "Historie Vincenza", które za każdym razem podbija widzów, zarówno wiejskich, jak i artystów, zjeżdżających tu z całego

świata. Nie wymienię autora scenariusza, ani reżysera. Wydaje się, że są zespołem, w którym trudno rozgraniczyć zakresy działania. Jak im się to udaje przy tak bogatym zestawie indywidualności, pewnie sami nie wiedzą.

*

Graja "Historie Vincenza" od kilku lat w różnych miejscach, najczęściej w okolicznych wsiach. Zimna sala wiejskiej świetlicy wypełnia się szybko. Przybyszów można łatwo odróżnić po plecach, stanowią zazwyczaj większość widzów. Reszta to młodszy i starszy miejscowi. Gaśnie światło, zapalają się świece na podłodze, wyznaczając miejsce dla aktorów, rozbłyska siedmioramienny świecznik. Rozbrzmiewa muzyka w wykonaniu kapeli: stare cymbały, bęben, skrzypce. Chwilami odzywa się drumla. Wbiega dziewczyna z ligawą (huculską trombita nie zmieściłaby się na tej sali). Dziewczyna jednocześnie gra i tańczy, muzykanci na zmianę śpiewają i grają, chwilami puszczają się w tany. W kulminacyjnym momencie dziewczyna wskakuje na ramiona jednego z tancerzy i wirują po sali z ligawą, trąbiąc donośnie. Muzyka, śpiew i taniec w migoczących światłach świec tworzą jedność. Z trudem można rozróżnić melodie — huculskie, żydowskie, jakieś echa kolędy góralskiej. Szalone rytmy przechodzą w spokojniejsze, rozbrzmiewa pieśń o tym, że radość i świętość można znaleźć w pieśni czy tańcu, wzorem króla Dawida.

Następnie w krąg światła zostaje wciągnięty stół, który na tę chwilę staje się sceną teatru lalek. Jeden z aktorów wyciąga z worka drewniane figurki i poruszając nimi opowiada historię prawdziwego Żyda, krawca na dworze polskiego pana, który wpłątany w intrygi wielkiego świata staje w obliczu największej tajemnicy. Zamiast z tego skorzystać, zamiast prosić o coś dla siebie, czy bliskich, modli się ze wszystkich sił o zniknięcie fałdy, która zawisła nad światem i wydaje się krawcowi największym zagrożeniem. Przestanie tej hasydzkiej opowieści nie jest do końca jasne. Vincenz pozostawił je domysłowi czytelnika. Zagadkowa historia krawca przechodzi wśród śpiewów w opowieść "O Preoswiaszczennym Metropolicie", wiążącą się znów z tematem świętej radości i tańca. Aktorzy wnoszą wielkie drewniane rzeźby i wszystko wiruje i gra przed oczyma zafascynowanej publiczności, nawet świecznik z zapalonymi świecami. Po zakończeniu spektaklu długo trwa cisza. Artyści

wyczerpani intensywnym wysiłkiem, widzowie przeżywający jeszcze niezwykle wrażenia. Dopiero po chwili brawa. Część widzów się rozchodzi, wielu jednak zostaje. Po paru łykach gorącej kawy z termosów ktoś znowu zaczyna grać. Muzyka porywa do tańca, tańczą prawie wszyscy, chwilami śpiewają. Nikt nie pozostaje obojętny. Członkowie zespołu są niezmordowani, wydaje się jakby grali, śpiewali i tańczyli jednocześnie i oddają się temu całą duszą i ciałem. Wreszcie koniec. Przyjeżdża traktor z przyczepą, żeby zabrać zespół i gości do Węgajt, gdzie odbędzie się seminarium teatralne. Przyczepa trzęsie po wertepach, mijamy pozostawione w lesie samochody. Wsiadamy na rozstajach. Dalej nawet traktor nie pojedzie. Idziemy potykając się w piaszczystych koleinach. Pracownia teatralna mieści się w zaadaptowanej na ten cel ogromnej stodole, stojącej naprzeciwko niepozornego domu. Skąd się to wzięło w tej głuszy? Kim są twórcy tego niezwykłego teatru?

Pierwsi byli Sobaszkowie. Przybyli tu przeszło dziesięć lat temu z falą młodych ludzi, którym obrzydło miejskie życie, a miłość do sztuki nie oznaczała zamykania do sztuczności i napuszenia, cechujących zarówno wielkie jak i małe sceny. Wacława Sobaszka, z wykształcenia historyka sztuki i jego żonę Erdmute (importowaną z NRD) połączyła przed laty wspólna pasja do tego, co w sztuce teatralnej najgłębsze, sięgające dalej niż korzenie. Chata za wsią, pod lasem, stała się dla nich najlepszym miejscem do studiów filozoficznych, a ponieważ brakowało miejsca do ćwiczeń ekspresji ciała, muzyki i śpiewu, wyremontowali dawną stodołę. Miejscowy zdun wylepił w niej wielki kominiek ogrzewający dwie sale, które dziś przyjmują gości z różnych stron. Czasem odnosi się wrażenie, że Teatr "Węgajty" jest bardziej znany w Londynie czy Moskwie, niż w Warszawie. Jednak artystów to raczej nie martwi. Wybrali Węgajty i wybrali Polskę. Nie bez trudu ze strony Erdmute, która musiała pokonywać barierę językową i stworzyć normalny dom dla przychodzących na świat dzieci.

Niklausowie poznali się w Gardzienicach. Małgorzata po dyplomie na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, a także ASP w pracowni Józefa Szajny i Wolfgang, aktor z austriackiego Tyrolu. Na początku uczestniczył w przedsięwzięciach artystycznych w rodzaju *performance*, które nie wymagały mówienia po polsku, wkrótce jednak opanował nasz język na tyle, że nie tylko bierze udział w spektaklach, lecz także tłumaczy na polski literaturę

niemieckojęzyczną, między innymi niezwykle trudną poczę Paula Celana. Zawsze interesowały go stare pieśni różnych narodów, także chasydzkie nigunach. Kiedy trafił w Węgajtach do świetlicy Sobaszków, stanął zaskoczony usłyszawszy ulubione, a mało znane melodie. Niklausowie przyjechali z przedstawieniem "Żywot Protopopa Awwakuma", którego premiera odbyła się w Gardziericach i które prezentowali na Międzynarodowych Spotkaniach Teatralnych w Warszawie. Węgajty urzekły ich do tego stopnia, że postanowili tu zostać. Początkowo mieszkali u Sobaszków, potem kupili sobie dom cztery kilometry dalej, we wsi Nowe Kawkowo. W styczniu 1987 roku odbyła się premiera wspólnie przez Sobaszków i Niklausów zrealizowanej "Książeczki Nigunów". W grudniu tego samego roku występowali w Starej Synagodze na krakowskim Kazimierzu z "Wieczorem pieśni" oraz "Bramą Księżycowego Wędrowca". Wspólne poszukiwania doprowadziły w 1988 roku do premiery "Historii Vincenza". Do zespołu dołączyli Witold Broda i Katarzyna Krupka.

*

Idea artystyczna Teatru "Węgajty", wyrażona przez lidera zespołu, Wacława Sobaszka, wskazuje cele romantyków, podnosząc wartość kultury ludowej, łącząc filozofię powrotu do natury z zamysłem pracy dla przyszłych pokoleń... Myślimy o tym co proste, użyteczne, przez to doniosłe. Naszą propozycja jest działalność teatralna skupiona wokół istniejących fenomenów naturalnych, takich jak: szlak ryzykantów i kołédników (Bieszczady, część Beskidów), suwalska "Alilujka", misteria bożonarodzeniowe i wielkanocne, pasja różańcowa, kantyczki suwalskie i wileńskie, pieśni z wielkanocnego cyklu weselnego (obszar kurpiowski), pieśni cyklu pogrzebowego (obszar suwalski), pieśni liturgiczne (katolickie i inne), materia ludowych wątków apokryficznych (pieśni wierszowane i moralitety), sztuka śpiewaka-lirnika i śpiewaka-improvizatora (cykl kołontyjek, obszar Pokucia i Huculszczczyzny).

W poszukiwaniach pieśni i obrzędów trafiają czasem po kilka razy do tych samych wsi rozszerzając obszar prac. To samo dotyczy domów, rodzin muzycznych, śpiewających samotników. Poszukują także miejsc osobliwych pod względem ekologicznym, które mogą służyć jako tło dramaturgii na różnych etapach przedsięwzięcia

ułożonego w cykle. W swoim programie przewidują udział wielu ludzi połączonych w zespoły stażowe do kolejnych cykli. Tygodniowe wyprawy poszukiwawcze i udział w całym cyklu powinien, według twórców z Węgajt, wywrzeć wpływ edukacyjny i inicjacyjny, zwłaszcza na młodzież zainteresowaną odmiennością tych działań — "bez ubezpieczenia, pod gołym niebem, na nierównym gruncie, mając ze sobą tylko instrument".

To swoiste laboratorium rzemiosła aktorskiego polega na powiązaniu sztuki aktora z muzyką, traktowaną jako *via naturalis* metody aktorskiej, jako naturalne podłoże słowa dramatycznego.

W tym samym ujęciu podlegają opracowaniu inne aspekty tego rzemiosła, jako fizyczność działań aktorskich, ośrodki energii, *equilibrium*, rezonatory oraz cały instrument głosu aktora, oddech, poczucie rytmu, barwy, harmonii i — jako element kardynalny — gest.

Działając głównie na obszarze gminy Jonkowo, członkowie zespołu "Węgajty" starają się włączyć w nurt życia społeczności wiejskiej. Są czynni przy powstawaniu kapeli, dziecięcego zespołu muzycznego, organizowaniu ogniska muzycznego, grają na zabawach i weselach. Przyjmują gościnnie grupy teatralne i szkolne oraz grupy terapeutyczne. Chcą czuć się potrzebni i akceptowani. Nie wymagają wielkich dotacji. Scenografia ich spektakli jest niesłychanie oszczędna. Do niedawna utrzymywali się ze skromniutkich etatów w Gminnym Ośrodku Kultury i Wojewódzkim Domu Kultury w Olsztynie.

Niestety GOK został rozwiązany, jako pozostałość dawnego ustroju i artyści od stycznia mają wymówienia. Jednak myśl o zaniechaniu działalności nie przechodzi nikomu przez głowę. W styczniu wybierają się na Huculszczczyznę, do odkrytej rok temu góralskiej wsi. Po powrocie będą kołédować, dosłownie i w przenośni, a przyswojonymi sobie pieśniami wzbogacą na nowo polską kulturę, czerpiąc z tego niezrozumiałą dla wielu radość, nie oglądając się na apanaże. Mimo stanu klęski.

Teresa Kłosiewicz